ILUSTROWANY GŁOS NARODU

z dnia 13. Grudnia 1902 r.

Zygmunt Krasiński.

Wystawienie „Komedji Nieboskiej“ na scenie krakowskiej, odświeżyło wśród szerszej publiczności pamięć wielkiego poety i myśliciela. Z trójcy naszych wieszczów Krasiński był może najbardziej ogólno-ludzki i filozoficzny; a z tego powodu mniej dostępny i mniej popularny. A przecież zarówno jego dzieło jak jego korespondencja, dotychczas niestety ogłaszane nie zupełnie i niesystematycznie, zawierają takie mnóstwo głębokich myśli i tyle wielkiej poezji, że zasługują najzupełniej na szersze niż dotychczas rozpowszechnienie. To też pomijając zawsze wątpliwą kwestję, czy wielkie dzieła poezji na scenę specjalnie napisane — kwalifikują się do teatru — wystawienie „Komedji nieboskiej“ jest najlepszym sposobem jej spopularyzowania.

Zygmunt Krasiński urodził się w roku 1812 w Paryżu, z ojca jenerała Wincentego Krasińskiego i matki Marji księżniczki Radziwiłłówny. Jenerał Krasiński, który po upadku Napoleona powrócił do Warszawy, był tam bardzo nielubiany wskutek wotum potępiającego, jakie oddał w sądzie sejmowym złożonym na naczelników słynnego spisku koronacyjnego.

Niepopularność jego spadła i na syna, a w przeddzień wybuchu powstania 1830 r. opuścił Zygmunt Wieniawę, pod najboleśniejszem wrażeniem smutnego zajścia z kolegami uniwersyteckimi. Zniewaga jakiej wówczas doznał wskutek nieobecności na pogrzebie wojewody Bielińskiego odbiła się na całem jego życiu.

W roku 1834 powstała „Nieboska“. można w tym poemacie upatrywać wiele niedostatków zwłaszcza technicznych. można wytykać młodzieńczość niektórych zapatrywań. nie podobna nie podziwiać olbrzymiego pomysłu, wieszczego niemal ducha i genjalnego polotu, zupełnie wyjątkowego u 22-letniego młodzieńca.

Żył Krasiński krótko, choroba piersiowa zabiła go w sile wieku, w 1859 roku, ale dzieła jego, a zwłaszcza „Irydjon“, „Przedświt“ i „Psalmy“. w których obok genjuszu poetyckiego, okazał najczystszą, najgorętszą miłość ojczyzny, zapewniają mu nieśmiertelne stanowisko w naszej literaturze i w naszej porozbiorowej historji. I w literaturze świata mało równych mu postaci. a kilka tylko nazwisk wyrasta mu ponad głowę.

Prof. Stanisław Tarnowski tak charakteryzuje i ocenia Krasińskiego, w swem dziele jemu poświęconem:

W tym naszym smutnym wieku, kiedy zacierają się wszystkie znamiona odrębnej i silnej osobistości, kiedy wszystkie dusze i wszystkie charaktery idą pod jeden strychulec, w tym wieku, który jak żeby wysilony nie umie się zdobyć na nic nowego, silnego, własnego, czy to w ludziach, czy w dziełach, jest Krasiński jedną z tych rzadkich postaci, które są i wielkie, i zarazem zupełnie własne, do żadnych innych nie podobne. W tym wieku, którego każdy rok znaczy się w historji zapisując na jej kartach smutne słowo „Przedświtu“: „I coraz podlej na tej ziemi było“, stoi jak otucha, jak pociecha i jak wzór, ta wielka postać człowieka, którego życia jedynym faktem był ból, który jak Łazarz, chory i cierpiący siedział jak Job na rumowisku złożonem ze wszystkich smutków i cierpień, a gdzie się obrócił, gdzie się sam siebie dotknął, tam się urazil: tam bolało albo nieszczęście ojczyzny, albo bólów ból narodu duch zatruty, albo zawiedziona nadzieja, albo strach przed czarną rozpaczliwą przyszłością świata, albo niesprawiedliwość ludzi, albo wreszcie palił wstyd, nie własny, ale piekący jak własny; w którym nie było jednego miejsca nie zranionego nie obitego, nie zbolałego — a który przecież nie płakał nad sobą, nie syknął na nikogo, nie znamiętnił się w przekleństwo, ale im więcej cierpiał tem więcej kochał, tem silniej wierzył w dobre, i jak męczennicy na torturach „wzrok utopion trzymał w niebie“, jak „Dant za życia przechodząc przez piekło“ widział niebo nad sobą otwarte. W tym wieku małych dusz i małych uczuć, taka miłość dobrego, taki śmiały i silny głos prawdy, choć głos wołającego na puszczy, to coś więcej jak wielkość jednego człowieka, to zasługa przed Bogiem samym. A kto wie, czy i nie zadośćuczynienie za płaskość, małość i złość wielu; i gdyby kiedyś, nasz kraj, albo nasz wiek, wzięty na sąd, jak niegdyś Sodoma, miał się zastawić od zguby pewną liczbą szlachetnych i wzniosłych, tedy pomiędzy tymi w pierwszym rzędzie powinienby zastawić się Krasińskim.



ZYGMUNT KRASIŃSKI.

I jeszcze jedno. Uważano słusznie, że nasz wiek, jak żeby w nim wyschły były soki żywotne, w swoich latach późniejszych, powtarza tylko, ale nic stwarzać nie umie; że po Byronie, po Mickiewiczu, skończyła się jego oryginalność i twórczość. I to prawda. Przeciw tej prawdzie zaś podnosi się i świadczy jedna tylko poezja Krasińskiego. Nie najpiękniejsza jako taka zapewne, ale pierwsza w swoim rodzaju w Europie i dotąd jedyna, pierwsza poezja historji i społeczeństw, zupełnie nowa i nigdy jeszcze nie widziana, oryginalna, jak tylko coś oryginalnem być może, pomimo wszystkich usterków piękna, wzniosła natchnieniem, myślą głęboka i potężna, a znaczeniem obchodząca nie swój naród tylko, ale europejska, utrzymuje i ratuje poezja Krasińskiego prawie sama jedna w Europie, sławę twórczości naszego wieku w późniejszych jego latach.

Z wycieczki na Śląsk.

(Ciąg dalszy).

„Górnoślązak“ to pismo młode, dopiero od Nowego Roku założone przez pana Biedermana, który powierzył je panu Wojciechowi Korfantemu. Wiadomo wszakże, iż p. Korfantego zaraz coś w 3—4 tygodnie po rozpoczęciu wydawnictwa „Górnoślązaka“ zamknięto na 4 miesiące więzienia za wrzekomą obrazę władz sprawiedliwości pruskich, a uczyniono to jedynie dlatego aby pismo w początku istnienia zgnębić i złamać. Był to cios, bezzaprzeczenia bolesny, ale uwięzienie młodego i dzielnego redaktora nie obaliło istnienia pisma.

P. Biederman „Górnoślązaka“ odsprzedał spółce złożonej z ludzi inteligentnych i robotników oraz bogatych mieszczan, a pismo to w krótkim czasie zyskało nader wielką liczbę prenumeratorów. Przeszło 12,000 egzemplarzy. „Górnoślązaka“ rozchodzi się codziennie, a niosą one słowa poczciwe narodowe i sprawy polskiej bronią bez ulękniema się.

Redakcya tego pisma jest tu prawdziwą oazą wśród żywiołu germańskiego, a że ludowi duszę nastraja w pieśń życia narodowego, zasługę ma przeto wielką.

Witamy więc dzielnego redaktora serdecznie a rozmowa toczy się około najważniejszych dla nas spraw.

— Nie dziwię się wcale, mówi p. Korfanty, iż nie wskazano wam drogi do was, bo jesteśmy tu solą w oku Prusaków, radziby nas zgnieść i zagubić, gdyż Katowice tylko dlatego tu zostały wzniesione, aby ślady polskości zatracić do szczętu.

— Czyż macie dość poparcia ze strony polskiej inteligencji?

Na Śląsku inteligencji polskiej niema jeszcze zupełnie, wyjaśnia p. Korfanty. Tu jest tylko lud polski i ten tylko żywioł polski reprezentuje. Kupcy, urzędnicy, przemysłowcy, to wszystko Niemcy, a ledwie gdzieś tu lub tam znajdzie się kupiec Polak, który usiłuje zwalczać swem istnieniem butę niemiecką, lecz naturalnie

jako jednostka ma niezmiernie wiele trudności do pokonania, a zamało sił do odporu.

— Gdzież szlachta dawna? gdzież dwory?

— Wogóle na Śląsku, szlachty nie wiele było, a i to zgermanizowało się zupełnie. Utonęła ta warstwa narodu bez śladu i to właśnie jest najgorsze. Ponieważ ten tylko lud zachował mowę i obyczaj, a „panowie“ wszyscy, czyli ci co już z pańska się noszą, mówią tylko po niemiecku, więc kto tylko z ludu trochę się dźwignie wyżej, czyli zostanie „panem“, zapomina po polsku i staje się niemcem. Znam takich przykładów



Połów ptaków i jaj ptasich na wyspach Shetlandskich.

ogromnie wiele. Szkoły germanizują z przerażającą szybkością, zaś kobiety śląskie jeszcze łatwiej dają się niemczyć jak mężczyźni.

— Jakimże sposobem? dlaczego?

— Także przez szkoły. Taka dziewczynka, córka robotnika, która chodzi parę lat do szkoły, nauczy się po niemiecku czytać i potem nic polskiego nie bierze do rąk. Znam wypadki, gdzie żony wyrzucają mężom, iż abonują polską gazetę, przeszkadzają im w czytaniu. Najgorzej zaś niemczą się córki ślązaków, jeśli chcą się dalej kształcić i chodzą do wyższych zakładów, gdzie zakonnice niemieckie wytępią resztki polskości. W sąsiedniej wsi był wypadek, iż córka górnika ślązaka, tak się zniemczyła w zakładzie wyższym, iż wyszła za Prusaka, barona X. za mąż, a potem, została damą dworu cesarzowej!.. Niejeden raz cała wieś w podziwieniu patrzyła jak owa dama zajeżdżała w karecie przed dom rodziców i czarowała przepychem... Zazdroszczono jej bogactw, a nie rozumiano, czem było jej życie wobec nędzy i zgnębienia ludu naszego, wobec kajdan i niewoli naszej.

Po chwili p. Korfanty dodał z smutkiem.

— Bądź co bądź takie rzeczy wiele matek oślepi i one chcą dla swoich córek lepszego losu i one pragną, aby ich dzieci były „panami“, a że „pan“ musi być niemiec, więc się wielka liczba germanizuje. Ileżto razy okazano mi zdziwienie, gdym począł rozmawiać na wsi po polsku... jakto? pan i po polsku mówi? pytano szczerze... bo sądzą, iż polska mowa tylko dla najuboższych i najciemniejszych. Jest to wrodzone, iż rodzice pragną dla dzieci zawsze lepszego stanowiska jak to, które oni zajmują. Więc i nasi górnicy, lub robotnicy, radzi kształcą dzieci, aby miały lepszy byt, lecz niestety, to kształcenie wszczepia jad germanizmu i porywa ofiar zawiele.

Smutne rzeczy, opowiadane nam, zasępiły myśl moją, ale zarazem wzbudziły uczucie ogromnej tęsknoty ku pracy dla tego ludu, prawdziwie osieroconego, którego jak mówił Pol, odcięto od pnia macierzystego zbyt rychło i rzucono na pastwę niemieckich trucizn i złości.

Lecz cóż to jest chęć pracy wobec tego, iż siły jednostek rwących się do tej orki są atomem wobec ogromu trudu i tysięcy przeszkód. Rwie się serce do ludu na Śląsku, bo ich fala niemiecka zatapia, rwie się myśl i do tamtych stron deptanych stopami Moskali, a cóż mówić o pracy dla ludu w Galicji? Ocean cały — lecz ludu i serc i pomocy nadto mało!..

. . . .

Trzeba było pomyśleć wreszcie o obiedzie. Wyszliśmy z redakcji w towarzystwie p. K. który zaopiekował się nami po przyjacielsku.

— Wszakże tu jest jadłodajnia, mówię, dlaczegoż idziemy dalej...

— Niestety... nie mogę was panowie zaprowadzić tu gdzie bliżej, bo takie tu są stosunki, iż Polaków Niemcy wyrzucają z restauracji lub kawiarni.

— Czy podobne?...

— Żartuje pan!...

— Wcale nie! Jestem tutaj tak znienawidzony przez Niemców i za to samo, iż polską gazetę redaguję i za to, że w gazecie tej nieraz prawdą w oko kolę, że mi nie dadzą wejść do ich ulubionych restauracji. Przy obiedzie opowiem wam, co mi się już raz tu zdarzyło.

Wprowadził nas przez sień na podwórze dość brudne, a tam przez drzwi boczne obok kuchni dopiero weszliśmy do ostatniego pokoju restauracji, gdzie usiedliśmy w kątku.

P. K. mówił z cicha:

— Jest to jedyna restauracja, w której mogę jadać bezpiecznie, bo mi już gospodarz zaręczył, iż czuwać będzie, aby mię nie wyrzucono.

Miałem raz takie zdarzenie; z doktorem, Polakiem, który także jest tu nielubiany, siedziałem w restauracji. Wtem zaczynają Niemcy rzucać na nas podstawkami z pod piwa. Jak rój szerszeni tak latały podstawki w około nas obok uszu i głowy... Oglądnęliśmy się raz, drugi, jakby pytając czego chcecie, a Niemcy zebrani licznie przy stolikach z wyzywającymi śmiechami, rzucali dalej. Możecie sobie wyobrazić, iż było nam tego zawiele. Wstaję więc, idę do nich i pytam czego chcą? Odpowiedział mi jeden z nich grubijańsko, więc nie wiele myśląc, odwinąłem rękę... Wtedy rzucili się na nas. Ich było przeszło 20-tu, nas dwu. Zbili ile tylko chcieli, wyrzucili na ulicę, a tam jeszcze dołożyli!

— I jakże? Zaskarżył pan?

— Do pruskiego sądu miałem wnosić skargę? Była to ich zemsta za jeden artykuł w przedostatnim numerze, a mogę być przygotowanym na więcej podobnych czynów. Całe moje nieszczęście, iż muszę się żywić w restauracjach i kawiarniach niemieckich, ale niema tu jednego takiego domu polskiego, w którymbym mógł się stołować. Ludność polska, robotnicza mieszka po wsiach bliskich, a w mieście jest tylko nas 3-ch Polaków, ja doktór i księgarz.

Kupców jest kilku, ale nie zupełnie są Polasami. Radbym się ożenić i mieć własne ognisko, bo i o wieleby cieplej byłoby w mojej redakcji, gdybym znalazł dzielną współpracownicę, ale gdzież mi tu szukać żony, kiedy tu panien Polek niema zupełnie. Niema na Śląsku jednego domu takiego, gdziebym mógł znaleść żonę dla siebie. Są Niemki bogate, są zniemczone ślązaczki, albo córki robotników i górników, które naturalnie ducha niemają rozbudzonego i uświadomienia narodowego nie znają. Właśnie czego tu ogromnie brak, to pracy nad kobietami śląskiemi. Pisma ludowe, jakkolwiek licznie się rozchodzą, dla kobiet zdają się jeszcze niepotrzebne, nieczytają same i mężom czytać nie dają. Starsze kobiety uchowały dużo życia narodowego, ale też one jeszcze nie przechodziły przymusowo przez te młoty wściekłe pruskie. Młodsze zaś pokolenie traci ducha, gdy język mu kaleczą i przefarbują zręcznie życie niemal całe. Znam takie wypadki, gdzie w domu mieszczanina, babka z wnukami nie umie się prawie rozmówić. Babka nie umie nic po niemiecku, wnuki nie umieją po polsku.

— To straszne! Jakże mało o tem wiemy, jakże obojętni jesteśmy wobec ciężkiej walki naszej na tym skrawku macierzystej ziemi, czemu wy o takich rzeczach nie piszecie do naszych gazet? Czemu nie rzucacie nam ciągle tego w oczy, nie wołacie byśmy szli w pomoc?

Kto ma pisać? Czy wy rozumiecie jaki jest właśnie u nas brak pisarzy? Wielkopolska ma bardzo mało literatów, Śląsk jeszcze mniej. Trudno u nas wypływać takim ludziom, bo zechciejcie zrozumieć, iż ze szkół niemieckich nie łatwo wyjść uzdolnionym do pracy literackiej. Te jednostki nie liczne, które mimo wszystkich przeszkód, przebiły się i umieją pisać, mają ogromne pole do pracy dla ludu. Taki Chociszewski, który życie całe prawie oddał siejbie narodowej, czyż mógł znaleść czas, aby jeszcze dla was pisać? Ileż on po więzieniach przesiedział? Wieluż jest nas teraz na Śląsku pracowników piórem? Kilkunastu. A pracy na kilkudziesięciu. Wieleż naszego życia przejdzie w więzieniach? Ja ledwie rozpocząłem, już przesiedziałem. Kowalski siedzi; zamykają co chwila tu lub tam, a w zamknięciu pracować nie pozwolą inaczej, chyba każą drzeć pierze.

— Prawda! Opowiadał mi jeden z redaktorów z poznańskiego, jak raz skazano Chociszewskiego na tydzień o chlebie i wodzie do ciemnicy za to, iż znaleziono u niego w kaźni ołówek i papier.

— Trzeba i to zrozumieć, iż nasi współpracownicy wszyscy, muszą prawie za darmo pracować, bo my wszystkie dzienniki nasze dajemy po bardzo niskiej cenie, aby wyprzeć niemieckie Zeitungi, które są wyzyskane i wciskane, a tanie przez to, iż ich rozchodzi się po 100,000 egzemplarzy. My jeśli damy gazetę codzienną za jedną markę kwartalnie, nie zarabiamy na niej wcale, a już tak zawsze bywa, iż pracę redaktorów kładzie się na ostatnim planie. Najpierw trzeba opłacić drukarnię, lokal i administrację.

— Wszędzie to samo, odrzekłem. Baderski, gdy ostatni raz z nami rozmawiał słusznie to osądził.

= Pisze do mnie, powiada, ów i inny dyrektor teatru, abym zezwolił na przedstawienie mej sztuki, ale bezpłatne. Tak ja odpisuję: — temu co w teatrze pozamiata, zapłacisz pan, lampiarzowi co lampy poczyści zapłacisz, bileciarzowi zapłacisz, a i wszystkim innym, lecz tylko autorowi, który właściwie wprowadza wszystkich ich w ruch, nic nie dasz. — To co jest treścią całego istnienia teatru, ma być nie wynagrodzone... Tak samo bywa i w redakcjach.

— Ale chodźmy już do drukarni, przerywa mój towarzysz. Czas ucieka, radzibyśmy też jeszcze jedno obaczyć. (C. d. n.)

Pomnik polski w Tarbes.

Podróżując przed laty kilkunastu po raz pierwszy po Francji, zatrzymałem się na dzień jeden w położonem blisko Pirenejów mieście Tarbes. Stolica to biskupa, do którego dyecezji należy sławne a niezbyt odległe stąd Lourdes, dorównywa wielkością może naszemu Tarnowowi, a odznacza się wielką schludnością. Przyczynia się do tego ta okoliczność, że we wszystkich ulicach miasta płyną rynsztokami tuż obok trotuarów, bystre strumyczki czyściutkiej jak łza wody, rozprowadzonej w ten sposób z pobliskiej rzeki Adour, która choć niżej pod Bajonną, morskie już dźwiga okręty, tutaj szumi i skacze jeszcze po kamieniach, niby nasz Biały lub Czarny Dunajec.

Zwiedziwszy wszystko co było do widzenia, zamyślałem już wracać na dworzec, by najbliższym pociągiem do Lourdes odjechać, gdy przypadkiem jeden z mieszkańców dowiedziawszy się, żem Polak, zwrócił uwagę mą na pomnik polski, znajdujący się na miejscowym cmentarzu. Twierdząc, że piękny i wart widzenia, dodał, że jest to pomnik żołnierza polskiego, jakiegoś księcia Janusza, i że mu go serdeczny przyjaciel hrabia Józef wystawił, że jednak nazwisk tych nietylko nie pamięta, ale nawet wymówićby nie był wstanie.

Zaciekawiony udałem się bezzwłocznie na cmentarz, i wcale nie pożałowałem fatygi, bo i sam widok pięknego pomnika i patrjotyczny na nim napis francuski, bardzo mnie zajęły. Pomnik miał kształt sarkofagu, o ile sobie przypominam z piaskowca lub wapiennego kamienia i otoczony był niższymi słupkami połączonymi z sobą łańcuchem. W głowach sarkofagu wznosił się wyższy znacznie pryzmatyczny słup kamienny, na którym umieszczony był piękny biust bronzowy, przedstawiający dorodnego mężczyznę w sile wieku, bez zarostu na twarzy przybranego w malowniczy mundur oficera polskiego z r. 1831. Twarz jego zwrócona wprost na sarkofag, na którego środku usiadł w poprzek piękny, zrywający się do lotu, bronzowy orzeł polski, zwracający głowę na prawo i bystro patrzący w oczy ofi-

cera, jakby oczekiwał rozkazu lub hasła do wzlotu. Orzeł ten przecudnie pomyślany i wykonany, równie jak i szlachetna twarz oficera bardzo mi się podobały i zachęciły do odczytania napisu, który przytaczam.

Od frontu widniał na wprawionej płycie marmurowej złotemi literami wyryty czterowiersz:

Dans cette image auguste et chère
Tout sage verra son rival,
Tout sage verra son égal
Et tout homme verra son frère.

(W tej szlachetnej i drogiej postaci wszelki bohater znajdzie swego rywala, wszelki mędrzec równego sobie, a każdy człowiek brata).

Na lewej stronie słupa umieszczone były w podobny sposób daty dotyczące się życia i charakteru zmarłego — a mianowicie:

Ici repose le Prince
JANUS JOSEPH Światopełk CZETWERTYŃSKI Chevalier de l'ordre polonais pour le merite militaire — Aide-de-champs du general en-chef de l'armée polonaise — Capitaine commandant d'artilerie Lithuanienne à cheval dans la guerre pour l'independance en 1831. Membre de plusieurs societés patriotiques, scientifiques et philantropiques.

(Tu spoczywa książę Janusz Józef Czetwertyński, kawaler orderu polskiego zasługi wojskowej, adjutant naczelnego wodza armji polskiej, kapitan dowódca konnej artylerji litewskiej w wojnie o niepodległość w r. 1831. Członek kilku towarzystw patrjotycznych, naukowych i filantropijnych).

Ze strony prawej wyczytałem napis:

Descendant de Rurik. né le 16 mai 1805 à Płoszcza en Pologne, mort le 29 novembre à Tarbes, exilé pour son patriotisme.

(Potomek Ruryka, ur. 16 maja w Płoszczy (napis niewyraźny) w Polsce, umarł 19 listopada 1837 w Tarbes, wygnaniec dla swego patrotyzmu).

Z tyłu wyczytałem:

Amitié éternelle ami reçois cet hommage de ton intime et inconsolable Joseph Janus Przeździecki 1840.

(Przyjaźń wieczysta — przyjacielu przyjm ten hołd od twego serdecznego i niepocieszonego przyjaciela Józefa Janusza Przeździeckiego 1840).

Na bronzowem popiersiu wyryte imię rzeźbiarza i odlewarni (Frondric Olin Chatelet à Toulouse 2839. Sculpté par Selamon).

Taki był pomnik i napis ten w sierpniu 1889. Kiedy jednak niedawno po raz wtóry przez Tarbes przejeżdżałem, znalazłem go znacznie zmienionym. Bronzy pozostały wprawdzie takie jak były — ale sarkofag kamienny był już popękany — a co najważniejsza, barbarzyńska ręka zapewne jakiegoś świeżo zawartym z Rosją aliansem oszołomionego szowinisty francuskiego, zeskrobała wszystkie na owych marmurowych tablicach umieszczone napisy. Dlatego uważam za stosowne podać o tem wiadomość i przytoczyć tekst ich dosłowny, ażeby rodzina książąt Czetwertyńskich lub hr. Przeździeckich mogły upomnieć się o to u rządu francuskiego i zażądać przywrócenia napisów w pierwotnej ich formie, a przytem naprawić to. co ząb czasu uszkodził. Zresztą sądzę, iż wiadomość o tym pomniku, jako jednej z pamiątek chwały narodowej zainteresuje i szersze koła czytelników.

Wincenty Stroka.

Teatr japoński.

W numerze dzisiejszym zamieszczamy scenę z teatru japońskiego, odgrywauą przed publicznością japońską w ojczyźnie Sady Yacco. Warto przypomnieć jak powstał ten słynny teatr, który taki entuzjazm wzbudził w całej Europie, zanim zawitał do naszego grodu i poruszył wszystkie sfery interesujące się prawdziwą sztuką. Wszystkim nam jeszcze stoją żywo w pamięci te oryginalne dramaty, nawpół improwizowane na scenie przez genjalnych aktorów — Sadę Yacco i Kawakaniego.

Otóż to, na co patrzyliśmy w Krakowie, nie jest najstarożytniejszym teatrem japońskim. Jest to wytwór ostatniego wieku, reakcja przeciwko ciężkim i nudnym urzędowym dramatom historyczno-religijnym, uświęconym tradycją i mającym sztywną, skamieniałą formę — coś nakształt europejskiego teatru klasycznego. W Japonji podobnie jak i w Europie, teatr ten powstał na gruncie obrzędów religijnych, przypominających nasze misterja i dzielił się na dwa rodzaje: Yokysku i Utae — religijny i liryczny. Występowały w nim kobiety, taksamo jak w naszych teatrach, ale z chwilą kiedy zaczęły się w teatrze będącym pod opieką dworu, nadużycia w tym kierunku — tout comme chez nous — udział kobiet w teatrze został zupełnie wzbroniony. Urzędowy teatr istniał właściwie głównie dla panujących, i było pewnego rodzaju obowiązkiem każdego mikada na te religijno historyczne przedstawienia przychodzić.

Tymczasem ludność nudziła się i wytworzyła sobie teatr własny, z własnych natchnień i sił. Zbierało się kilku ludzi z fantazją, komponowało jakąś historję, i nie obrabiając szczegółów, umawiają się tylko o główne rysy, wszyscy improwizowali na scenie przed jarmarczną publicznością wesołe i tragiczne sceny. Zwykle za każdem przedstawieniem tekst się zmieniał stosownie do usposobienia twórczego aktora. w końcu jednak niektóre wersje przyjęły się i pojawiły się nowe, oryginalne dramaty. pełnessiły i świeżości, które można było spisać i które poruszyły całą Europę. Środki tego teatru są bardzo prymitywne. Dekoracje są tak proste, że mogą iść w porównanie chyba z Szekspirowską sceną. Morze statków — to okopy, latarka — to księżyc. Ale niesłychane mistrzostwo dykcji i mimiki wynagradza wszystko.

Do tych teatrów również nie były dopuszczane kobiety. Sada Yacco dopiero zrobiła pierwszy wyłom w przesądach — obecnie już więcej pojawiło się jej współzawodniczek — w samej Japonji.

CONON DOYLE.

TAJEMNICA BASKERVILLE'ÓW

Dziwne przygody Sherlocka Holmes.

Przekład z angielskiego

EUGENII ŻMIJEWSKIEJ.

I.

Pan Sherlock Holmes.

Pan Sherlock Holmes zwykł był wstawać późno, o ile nie czuwał przez całą noc, a zdarzało mu się to nieraz. Otóż owego dnia wstał wyjątkowo wcześnie. Jadł śniadanie. Stałem przy kominku. Schyliłem się i podniosłem laskę, którą nasz gość zostawił wczorajszego wieczoru. Był to kij gruby, z dużą gałką, utoczoną z drzewa; pod gałką była srebrna obrączka, a na niej napis: „Jakóbowi Mortimer M. R. C. S. od przyjaciół C. C. H.", pod spodem zaś data: r. „1884". Taką laskę staroświecką, mocną, zapewniającą bezpieczeństwo, zwykli nosić starzy lekarze.

— No, i cóż, Watson? Co pan myślisz o tej lasce? Jakie wyprowadzasz wnioski? — zapytał.

Holmes siedział, odwrócony do mnie plecami; widzieć mnie nie mógł, a ja zachowywałem się tak cichutko, że nie mógł się domyślić czem jestem zajęty.

— Masz pan chyba oczy z tyłu głowy... — rzekłem.

— Mam przed sobą srebrny imbryk — odparł — ale powiedz mi, Watson, co myślisz o lasce naszego gościa? Skoro nie zastał nas w domu i nie wytłómaczył celu swych odwiedzin, ta



TEATR JAPOŃSKI.

mimowolna pamiątka nabiera wielkiego znaczenia. Chciałbym też wiedzieć, jakie pojęcie tworzysz sobie o tym człowieku?

— Sądzę — odparłem, trzymając się metody dociekań mojego towarzysza — że doktor Mortimer jest lekarzem średniego wieku, zażywającym szacunku; dowodzi tego ów upominek pacjentów.

— Dobrze, wybornie! — pochwalił! mnie Holmes.

— Sądzę dalej, że jest lekarzem prowincjonalnym i że po większej części odwiedza chorych pieszo.

— Dlaczego tak pan przypuszczasz?

— Bo laska, choć pierwotnie ładna, jest tak zniszczona, że żaden lekarz miejski nie chciałby jej używać. Grube okucie żelazne starło się, co dowodzi, że laska była w częstem użyciu.

— Słuszne rozumowanie — przytwierdził Holmes.

— A dalej napis od przyjaciół z C. C. H. świadczy, że lekarz niósł pomoc członkom jakiegoś klubu myśliwskiego (Hunting Club).

— Istotnie, Watson, przechodzisz sam siebie — rzekł Holmes, zapalając papierosa. — Muszę przyznać, że pańskie wnioski są słuszne. Mam pojętnego ucznia. Wyświetliłeś kilka punktów zupełnie ciemnych.

Nigdy jeszcze Holmes nie odzywał się się do mnie w sposób tak pochlebny. Cieszyłem się z jego uznania, na które oddawna już usiłowałem zasłużyć, stosując jego metodę badań w sprawach kryminalnych.

Po chwili milczenia, odebrał mi laskę i przypatrywał się jej gołem okiem. Następnie odłożył papierosa, odszedł z laską do okna i począł jej się przyglądać przez szkło powiększające.

— Ciekawe, bardzo ciekawe... — rzekł, wracając na swoje ulubione miejsce przy kominku.

— Czy pan dopatrzył się jakiego nowego szczegółu, mogącego służyć za wskazówkę? — spytałem, spodziewając się, że nic ważnego nie uszło mojej baczności.

— Zdaje mi się, mój drogi Watson, że prawie wszystkie twoje wnioski były mylne. Pod jednym tylko względem miałeś słuszność. a mianowicie, że posiadacz tej laski jest doktorem prowincjonalnym i że dużo chodzi.

— A więc nie omyliłem się?

— Na tym punkcie — nie.

— A na innych?

Inne wywody były fałszywe. I tak. naprzykład twierdzisz, że laska jest darem jakiegoś prowincjonalnego klubu myśliwskiego. Ja przypuszczam, że ofiarowali ją lekarzowi pensyonarze szpitala Charing Cross (C. C. H).

— Przyznaję, że to jest prawdopodobniejsze. Jaki pan stąd wyprowadza wniosek?

— Znana jest panu moja metoda badania. Zastosuj ją w praktyce.

— Mogę to tylko wywnioskować, że przed osiedleniem się na wsi, ten lekarz praktykował w mieście.

— Sądzę, że możemy posunąć się jeszcze dalej na drodze przypuszczeń. Ten dar został wręczony w chwili, gdy doktor Mortimer opuszczał szpital, aby rozpocząć praktykę na własną rękę.

— Prawdopodobnie.

— Jakież mógł on zajmować stanowisko w tym szpitalu? — albo lekarza ordynującego, albo studenta-praktykanta. Zapewne to ostatnie, bo doktor szpitalny, z wyrobioną opinją i liczną praktyką, nie opuszcza zajmowanej pozycji, aby się przesiedlać na prowincję. Doktor Mortimer opuścił szpital przed laty pięciu, jak to wskazuje data na lasce. W owym czasie ukończył zapewne uniwersytet, a więc upada pański wniosek, iż jest człowiekiem średniego wieku. Doktor Mortimer ma lat 30 niespełna, jest uprzejmym, dobrym, niezbyt ambitnym, roztargnionym. Ma psa trochę większego od jamnika, a mniejszego od wyżła.

Roześmiałem się niedowierzająco. Holmes zasiadł wygodnie w fotelu i puszczał kłęby dymu.

— Nietrudno będzie przekonać się, który z nas dwóch ma rację — rzekłem, zbliżając się do szafki bibliotecznej i wyjmując z niej kalendarz z wykazem lekarzy angielskich, oraz ich życiorysem. Z pośród wielu Mortimerów, jeden tylko mógł być tym, o którego nam chodziło. Odczytałem głośno:

„Mortimer Jerzy, lekarz powiatowy w Grimpen, Dartmoor, hrabstwo Devsu. Był. studentem-praktykantem w szpitalu Charing-Cross od roku 1882 do 1884. Otrzymał nagrodę Jacksona za studjum z zakresu patalogji porównawczej, zatytułowane: „Czy choroba jest zboczeniem?“ Jest członkiem szwedzkiego Towarzystwa patologicznego, autorem wielu artykułów, jako to: „Kilka przykładów atawizmu“ (drukowany w „Lancet“ w r 1882), „Czy idziemy z biegiem postępu?“ („Dziennik Psychologiczny“ 1883). Jest lekarzem powiatowym gmin Grimpen, Thorsley i High Barrow“.

— Widzisz pan, że miałem słuszność — rzekł Holmes. — Obstaję dalej przy moich hyhotezach, ze doktor Mortimer musi być uprzejmy, bo tylko człowiek uprzejmy dostaje takie upominki od swoich pacjentów; że nie jest ambitny, bo inaczej nie opuszczałby Londynu dla prowincji, i że jest roztargniony, bo w razie przeciwnym, zamiast laski, zostawiłby swój bilet wizytowy.

— Jakież są pańskie wnioski co do psa?

— Jego pies zwykł nosić laskę w zębach; ponieważ laska jest ciężka, więc ją trzyma pośrodku; w tem miejscu znać ślady psich zębów. Zęby są za duże na jamnika, za małe na wyżła. To może być... tak, to jest pinczer.

Holmes przeszedł przez pokój i stanął we framudze okra. W głosie jego było tyle głębokiego przekonania, że nie mogłem się wstrzymać, aby go nie zapytać:

— Skąd taka pewność?

— Dla bardzo prostej przyczyny, że mam tego psa przed oczyma; stoi za temi drzwiami, a jego właściciel w tej chwili właśnie do nich dzwoni. Proszę cię, Watson, nie wychodź z pokoju. Jest pańskim kolegą, i pańska obecność może mi być przydatną. Nadchodzi ważna chwila. Zbliżają się kroki, które mogą stanowić o przeznaczeniu — złem czy dobrem — niewiadomo.



FRYDERYK KRUPP.

Ciekaw jestem, czego doktor Jerzy Mortimer zażąda od Sherlocka Holmes, specjalisty od przestępstw kryminalnych... Proszę!

Do pokoju wszedł nasz gość. Jego powierzchowność zdziwiła mnie mnie bardzo. Nie wyglądał na prowincjonalnego lekarza. Był wysoki, szczupły, miał nos wąski, wysuwający się ostro z pomiędzy oczu przenikliwych, zasłoniętych ciemnemi okularami. w złotej oprawie. Ubrany był w długi, poplamiony surdut, spodnie miał wystrzępione. Choć jeszcze młody wiekiem, był już przygarbiony; na jego twarzy malowała się dobra wola względem ludzi. Wchodząc, zobaczył odrazu laskę w ręku Holmesa i podbiegł ku niej z okrzykiem radości.

— Tak się cieszę! — zawołał. — Nie byłem pewny, czym ją zostawił tutaj, czy w biurze portowem. Gdybym ją zgubił, sprawiłoby mi to wielką przykrość.

— Wszak to prezent? — rzekł Holmes.

— Tak, panie.

— Od pensjonarzy hotelu Charing Cross...

— Tak, od paru pacjentów. Dali mi ją na pamiątkę mojego ślubu.

— Szkoda, — rzekł Holmes, ściskając mu rękę.

— Czego pan żałuje? — spytał doktor Mortimer ze zdziwieniem.

— Szkoda, że pan rozproszył moje wioski — brzmiała odpowiedz. — A więc powiadasz pan, że to podarek ślubny?

— Tak, panie. Ożeniłem się i dlatego musiałem szpital opuścić; trzeba było założyć dom, postarać się o praktykę samodzielną.

— No, i teraz zyskujesz pan sobie sławę na polu nauki — rzekłem.

— Wszak mam przyjemność mówić z panem Sherlock Holmes?

— Nie, to mój przyjaciel doktor Watson.

— Miło mi pana poznać. Słyszałem o panu nieraz. Pozwoli mi pan, panie Holmes, zbadać swoją czaszkę. Od pierwszego rzutu oka spostrzegłem, że jest niezwykłą: zdradza zdolności, rzekłbym nawet — genjusz dedukcyjny. Taka czaszka byłaby ozdobą każdego muzeum. Przyznaję, że jej panu zazdroszczę.

— Jesteś pan entuzjastą w swoim zawodzie, tak, jak ja w swoim — odparł detektyw — ale sądzę, że nie przybywasz pan tu po raz wtóry jedynie w zamiarze zbadania mojej czaszki...

— Nie. panie, choć rad jestem, że zdarza mi się sposobność ku temu. Przybyłem do pana, panie Holmes, bo uznaję własną niepraktyczność, a jestem postawiony wobec bardzo trudnego zagadnienia. Ponieważ pan jesteś drugim w Europie ekspertem w sprawach kryminalnych...

— Doprawdy? Czy wolno mi zapytać, kto jest pierwszym?

— W oczach człowieka, przekładającego teorję nad praktykę, pan Bertillon zajmuje niewątpliwie pierwsze miejsce.

— Więc czemuż pan nie zwrócisz się do niego?

— Powiadam, że jest on pierwszorzędną powagą, jako teoretyk. Ale pan, jako praktyk, zajmujesz pierwsze w Europie — to niewątpliwe. Spodziewam się, żem pana nie obraził...

— Trochę — odparł Holmes nawpół żartem — ale jako człowiek praktyczny, chciałbym nareszcie dowiedzieć się, co pana tutaj sprowadza.

II.

Przekleństwo rodu Baskerville.

— Mam w kieszeni rękopis — rzekł doktor Jerzy Mortimer.

— Spostrzegłem to odrazu, gdyś pan wszedł do pokoju — odparł Holmes.

— Manuskrypt jest stary.

— Z ośmnastego wieku.

— Skąd pan wie?

— Z pańskiej kieszeni wychodzi pół cala papieru. Przyglądałem mu się, podczas gdyś pan mówił, a byłbym lichym rzeczoznawcą, gdybym z zewnętrznego wyglądu nie potrafił określić daty rękopisu. Czytałeś pan zapewne moją monografję w tym przedmiocie. Otóż w tym wypadku sądzę, że manuskrypt datuje się z r. 1730.

— Omyliłeś się pan o lat dwanaście. Datowany jest z roku 1742.

Doktor Mortimer wyjął go z kieszeni.

— Ten dokument rodzinny został powierzony mojej pieczy przez sir Karola Baskerville, którego śmierć tragiczna poruszyła przed trzema miesiącami całe Devonshire. Dodam, że byłem jego osobistym przyjacielem, zarówno jak lekarzem domowym. Był to człowiek dzielny, rozumny, praktyczny i tak samo, jak ja, nie podlegający złudzeniom wyobraźni. A jednak wierzył święcie słowom tego dokumentu i był przygotowany na rodzaj śmierci, który go spotkał...

Golmes wyciągnął rękę po manuskrypt i począł mu się bacznie przyglądać.

— Zwracam pańską uwagę, Watson, na kolejne używanie krótkiego i długiego s. Jest to jedna ze wskazówek, która mi pomogła do określenia daty.

Spojrzałem przez ramię na papier, pożółkły ze starości. Na pierwszej stronicy był nagłówek: „Baskerville Hall“, a pod spodem data: „1742“.

— To zapewne potwierdzenie jakiejś legendy — wtrącił Holmes.

— Rzeczywiście — przyznał doktor Mortimer. — Legenda tyczy się rodu Baskervillów.

— Przypuszczam jednak, że pragniesz pan zasięgnąć mojej rady w sprawie aktualniejszej i bardziej realnej — rzekł Holmes.

— Tak. Chodzi mi o fakt zagadkowy, który zdarzył się niedawno; muszę rozstrzygnąć zagadkę w ciągu dwudziestu czterech godzin. Ale manuskrypt jest krótki i ma ścisły związek z tą sprawą. Zatem odczytam go panu, jeśli pan pozwoli.

Holmes skinął głową. Zasiadł wygodnie w fotelu, złożył ręce tak, że palce stykały się z palcami, przymknął oczy i słuchał z rezygnacją.

Dr. Mortimer podsunął manuskrypt pod światło i głosem dobitnym czytał, co następuje:

— „Rozmaite pogłoski krążyły o Psie Baskervillów, lecz ja pochodząc z prostej linji od Hugona Bassksrville, słyszałem tę historję z ust mojego ojca, który znowu słyszał ją od swojego. więc ją spisuję z całą wiarą. Pragnąłbym, abyście i wy, moi synowie, nabrali głębokiego przekonania, że Sprawiedliwość, karcąca winę, może ją odpuścić, i że żadna kara nie jest tak ciężka, aby modlitwa i pokuta nie zdołały jej zatrzeć. Niech te dzieje nauczą was, że nie należy bać się owoców przeszłości, lecz raczej być ostrożnym na przyszłość, aby dzikie chucie, za które nasz ród poniósł tak srogą karę, nie rozkiełzały się znowu na naszą zgubę.

„Dowiedzcie się więc, że za czasów Wielkiej Rewolucji (polecam wam przeczytać dzieje tej epoki, skreślone przez lorda Clarendon); otóż w owych czasach w zamku Baskerville rządził Hugon, a był to, przyznać muszę, człowiek porywczy i bezbożnik.

„Sąsiedzi przebaczyliby łatwo to ostatnie wykroczenie, bo nasza okolica nie słynęła nigdy z religijności, ale nie mogli mu przebaczyć wrodzonego okrucieństwa.

„Otóż ów Hugon pokochał (jeśli można tem mianem nazwać tak dzikie uczucie), pokochał zatem córkę czynszownika, dzierżawiącego grunta w pobliżu dóbr Baskerville. Ale dziewczyna, będąc skromną i bogobojną, obawiała się go jak szatana. Otóż pewnego wieczora na jesień, w dzień św. Michała, ów Hugon na czele pięciu czy dziesięciu kompanów, zakradł się do farmy i uprowadził dziewczynę, korzystając z chwili, gdy ojciec i bracia jej by i nieobecni.

(C. d. n.)